OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

10 GROSZY | GAZETA POPOŁUDNIOWA DLA WSZYSTKICH | 10 GROSZY

Rok II. | Kraków, Niedziela 10 Stycznia 1932 r. | Nr. 10

Rumuński minister ks. Ghicka gości w Warszawie

Wczoraj rano przybył do Warszawy rumuński minister spraw zagr. ks. Ghicka w towarzystwie posła naszego w Bukareszcie, oraz posła rumuńskiego w Warszawie. Na dworcu oczekiwali gościa przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, min. Zaleski w otoczeniu wyższych urzędników M. S. Z., kolonja rumuńska i t. d.

Min. Ghicka powitał min. Zaleski, przedstawiając mu zebranych dygnitarzy, poczem odjechali do hotelu.

Gość rumuński był wczoraj przyjęty śniadaniem przez Prezydenta Rzplitej oraz złożył wizytę premjerowi Prystorowi. Wieczorem min. Zaleski wydał na cześć ks. Ghicka raut.

Podczas pobytu rumuńskiego ministra odbędzie się szereg doniosłych narad politycznych w sprawach polityki zagranicznej obu sprzymierzonych państw.

Sejm rozpoczyna pracę w poniedziałek

W poniedziałek rozpoczyna się praca parlamentarna, przerwana wskutek świąt. W dniu tym zbiera się komisja budżetowa i obradować będzie nad preliminarzem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Posiedzenie plenarne wyznaczone zostało na wtorek o 6-tej po południu. Na porządku dziennym między innemi sprawozdanie komisji prawniczej o projekcie postępowania karnego.

1.459.700 tysięcy zł. w obiegu

Ogólny obieg pieniędzy w Polsce w końcu grudnia roku ubiegłego wynosił 1.459.700 tysięcy złotych. W porównaniu do listopada obieg pieniężny w Polsce wzrósł o 10 miljonów złotych.

Prace nad ustaleniem podwyżki opłat stemplowych

W Ministerstwie Skarbu trwają prace nad projektem zmian w obowiązującej ustawie o opłatach stemplowych. Zmiany te pójdą w kierunku podwyższenia niektórych opłat.

Stan bezrobocia w poszczególnych zawodach

Na ogólną liczbę 289.057 bezrobotnych w całej Polsce, zarejestrowanych na dzień 2 b. m., bez roboty w poszczególnych zawodach przedstawiało się następująco:

Górnicy — 13.876, szklarze — 1773, — metalowcy — 30.184, włókiennicy — 30.212, robotnicy budowlani — 34.523, pracownicy umysłowi — 36.903, robotnicy niewykwalifikowani 117.147.

Liczba częściowo zatrudnionych wynosiła 144.489.

Echa nadużyć w pocztowem biurze budowlanem

Sedzia śledczy dla spraw szczególnej wagi przy warszawskim Sądzie Apelacyjnym kończy już trwające od przeszło roku śledztwo w głośnej sprawie nadużyć w biurze budowlanem ministerstwa poczt i telegrafów. Wysokość nadużyć jest obecnie przedmiotem żmudnej ekspertyzy buchalteryjnej. Jak słychać, przekracza ona cyfrę 300.000 zł. Sprawca tych malwersacyj, inż. Ruszczewski nadal przebywa w więzieniu. Grozi mu kara do 6-ciu lat więzienia.

Wyścig ofiarności na rzecz bezrobotnych jest nakazem życia

W przededniu doniosłych konferencyj

W Niemczech rząd naradza się z przywódcą nacjonalistów Hitlerem

Bliski termin konferencyj reparacyjnej (w sprawie długów wojennych) i rozbrojeniowej, związanej ze sprawą bezpieczeństwa i utrzymania pokoju wpłynął na

szereg posunięć

w Niemczech i we Francji. W Niemczech szczególną uwagę zwraca konferencja kanclerza Rzeszy z przywódcą niemieckich nacjonalistów, osławionym Hitlerem. Tym razem,

nie Hitler prosił o rozmowę,

ale został zaproszony na konferencję przez rząd. W rokowaniach z faszystowską znakomitością Niemiec chodzi o przedłużenie prezydentury Hindenburga, niewątpliwie

za cenę doniosłych obietnic

w zakresie polityki zagranicznej, **które nie będą miały na celu wzmocnienie pokoju.** W rokowaniach tych poruszano i inne sprawy, gdyż Bruening

zaraz po konferencji z Hitlerem udał się na naradę z ambasadorami niemieckimi z Paryża, Londynu i Rzymu.

Rozmowy kanclerza Niemiec mają niewątpliwie na celu utworzenie rządu koalicyjnego co pozwoli delegatom niemieckim na międzynarodowych konferencjach

okazywać nieustępliwość

i, prawdopodobnie, jak to było dotychczas, **używać Hitlera**

jako straszaka.

Francja również znajduje się **w przededniu**

poważnych zmian

w łonie rządu. Krążą pogłoski, że min. Briand nie weźmie udziału w konferencji reparacyjnej w Lozannie.

Zamach bombowy na mikada

Cesarz Japonji i jego świta ocaleli mimo wybuchu

TOKIO (PAT). — Na cesarza Japonji dokonano zamachu bombowego; mianowicie jakiś osobnik rzucił bombę w kierunku powozu, w którym cesarz powracał z przeglądu wojskowego. Bomba wybuchła wpobliżu powozu, który jechał za powozem cesarza. Ofiar w ludziach nie było. Sprawca zamachu, Koreańczyk Rihosho został natychmiast aresztowany. Odnaleziono przy nim drugą bombę.

Maszyny piekielne w przesyłkach do króla Włoch i Mussoliniego

Policja amerykańska udaremniła próbę zamachu

LONDYN (ATE). — Amerykańska policja kryminalna skierowała do kapitana parowca amerykańskiego „Excalibre" depeszę iskrową, w której zawiadamia, że na pokładzie statku znajdują się dwie przesyłki zaadresowane do króla Włoch i Mussoliniego.

Przesyłki te mają zawierać maszyny piekielne. Parowiec „Excalibre" opuścił port nowojorski w dniu 26 grudnia i ma przybyć dziś do Marsylji.

Podejrzenie co do zawartości posyłek powstało w związku z ostatniemi zamachami terorystycznemi, zorganizowanemi przez elementy antyfaszystowskie w St. Zjednoczonych.

GENEWA (ATE). — W lokalu konsulatu włoskiego w Lugano (Szwajcarja), znaleziono maszynę piekielną.

Gwałtowny wylew rzeki w Stanach Zjedn.

Po przerwaniu tamy woda zmusiła do panicznej ucieczki setki mieszkańców

GLENDORAMA (Missisipi — PAT). — Wskutek zerwania tamy na rzecze Tallahatchi w Stanach Zjednoczonych nastąpił gwałtowny wylew, przyczem zalane zostało 12.000 ha ziemi uprawnej. Setki mieszkańców uciekają w panice, pozostawiając żywy i martwy inwentarz. Panuje obawa, że są liczne ofiary w ludziach.

Śmierć w wagonie z rąk sowieckich siepaczy

Uciekający urzędnik został zastrzelony przez agentów G.P.U.

WILNO (PAT). — Ze Stołpców donoszą, iż onegdaj na stacji granicznej Kołosowo zabity został w zagadkowych okolicznościach jeden z urzędników sowieckich, który za fałszywym paszportem na nazwisko Michała Finklera usiłował opuścić Rosję sowiecką. Zbiega sowieckiego śledzili agenci G. P. U., którzy chcieli go aresztować. Finkler począł stawiać opór, wobec czego jeden z agentów wystrzałem z rewolweru położył go trupem. Scena ta odbyła się w wagonie i wiadomość o niej odrazu rozeszła się wśród podróżnych.

Zwłoki Finklera wyniesiono z wagonu i autem odwieziono do stacji Niegorełoje. Tło tego zagadkowego mordu jest trzymane w ścisłej tajemnicy.

Władze sowieckie, chcąc wytłumaczyć ten wypadek wobec zagranicznych podróżnych, wyjaśniają, iż zastrzelony został niebezpieczny bandyta, który wpobliżu Mińska obrabował kilku podróżnych i był ścigany przez wywiad.

SKRÓTY

Według wykazu urzędu pośrednictwa pracy, ilość bezrobotnych w Niemczech w dniu 31 grudnia 1931 r. wynosiła 5.666.000, to znaczy o 316.000 więcej, niż w połowie grudnia.

—:o:—

W Charbinie nie ustają krwawe uliczne rozruchy. Wczoraj znów miała miejsce strzelanina między demonstrantami a policją.

—:o:—

Nacjonaliści niemieccy, hitlerowcy, rozesłali do części mieszkańców miasta Lipska listy z pogróżkami, obiecując mordować przeciwników politycznych.

—:o:—

Nowe wstrząsy, jakie nastąpiły wczoraj w podziemiach kopalni Karsten-Zentrum pod Bytomiem, zniszczyły dokonany dotychczas przekop do miejsca katastrofy.

Powódź w Zagłębiu Dąbrowskiem

SOSNOWIEC (PAT). — W związku z ostatniemi opadami atmosferycznemi rzeki Przemsza i Brynica w Zagłębiu Dąbrowskiem znacznie wezbrały. Gdzie niegdzie Brynica wystąpiła z brzegów. W Zawierciu rzeka Warta zalała w mieście kilka ulic, wdzierając się do mieszkań niżej położonych domów. Wypadków z ludźmi nie zanotowano. Zarządzono wszelkie środki zaradcze.

Walka z przemytnikami na granicy litewskiej

WILNO (PAT). — Wpobliżu wsi Suslinowo, w rejonie Druskienik, usiłowała przekroczyć granicę banda przemytników. Przemytnicy ci pod gradem kul strażników litewskich przedarli się na teren polski, lecz tutaj spotkali się z zasadzką K. O. P.-u. Po krótkiej wymianie strzałów przemytnicy poczęli wycofywać się na teren litewski. W czasie ucieczki dwuch przemytników ujęto, dwaj inni utonęli w moczarach. Zatrzymani przemytnicy pochodzą z Litwy. Są to: Marcin Dowgialis i Antoni Tomaszajtis z olickiego. Skonfiskowano im większy przemyt najrzedniejszych tytoni litewskich.

Nadużycia na 800 tys. zł. w „Banku Zagłębia"

W „Banku Zagłębia" w Sosnowcu wykryto wielkie nadużycia, popełnione przez dyrektorów oraz członków byłej rady nadzorczej banku. Oskarżeni pobierali bezprawnie przez czas swego urzędowania pożyczki. Wielu z nich dzięki tym nadużyciom, pobudowało sobie wille. Sumy nadużyć sięgają ogromnej cyfry 800 tysięcy zł.

GIEŁDA

Obroty mniejsze, tendencja niejednolita. Dolar 8.90.

Ostatnie słowo p. Pragiera, Bagińskiego i Witosa

54-ty dzień procesu przeciw posłom z Centrolewu

P. Pragier dokończył przemówienie

Od rana kończył swe „ostatnie słowo" p. Pragier. Co chwila dochodziło do starć.

P. Pragier: — Nabożeństwa majowe, o których mówił pan prokurator przypominają obrządki pogańskie z okresu Rzymu, tego Rzymu, co...

Przewodniczący: — Co to ma za znaczenie dla sprawy, tu nie jest wiec, ani wykład profesorski.

Prok. Rauze: — Wstyd dla adwokata.

W takich okolicznościach mowa dobiegła końca.

Przemówienie p. Ciołkosza

Zkolei rozpoczął p. Ciołkosz. Przemawiał wybitnie demagogicznie, bojowo, z posmakiem socjalizmu.

— Nie przyznajemy się. Ale nie lęk zamyka nam usta. Nie wolno nam zarzucać tchórzostwa. Jeśli wyrok zasądzi nas na długie lata do więzienia, — pójdziemy tam, jak chce prokurator, z pieśnią na ustach.

Przemówienie p. Mastka

Na satyryczną nutę nastrojone było „ostatnie słowo" p. Mastka, wielbiciela dowcipu.

— Nie mogę zrobić tej przyjemności na Nowy Rok panom prokuratorom i nie przyznam się, bo choć szukałem się długo w akcie oskarżenia, to znaleźć się tam nie mogłem.

Przemówienie p. Bagińskiego

Pierwszy po obiedzie przemawiał p. Bagiński. Na wstępie mówił o znaczeniu ruchu ludowego i o autorytecie jego przywódców, który dzięki temu nawet w najbardziej krytycznych momentach potrafią panować nad masami.

Po scharakteryzowaniu własnej działalności, Bagiński kończy w ten sposób:

— Masy ludowe muszą znaleźć otuchę w wyroku sądowym. Gdyby jej nie znalazły, wypełzłaby zmora niewiary. Przestanoby nam wierzyć. Mówiono by: Polska Niepodległa nie nam nie przyniosła i was jeszcze odtrąciła.

Przemówienie p. Witosa

Z wielkiem zaciekawieniem oczekiwano „ostatniego słowa" prezesa Witosa. Sala sądowa szczelnie wypełniona. Witos wstaje i tubalnym głosem wypowiada swą mowę obrończą.

Mówi o swej działalności, zbija tezy oskarżenia, poddaje krytyce niektóre zeznania i pewne argumenty prokuratorów. Przyznaje się do współudziału w pracach Centrolewu, do uczestniczenia w kongresie krakowskim, do przemawiania w sprawie rezolucyj i głosowania za niemi, do rozdawania ulotek, o których dopiero później dowiedział się, że są skonfiskowane. Natomiast odpiera zarzut prokuratora, że konferował z Ciołkoszem przed kongresem.

Główna część jego przemówienia dotyczyła politycznej strony procesu. Witos mówił:

Coś idzie do nas. Jakaś burza wisi w powietrzu, jakieś groźne pomruki słychać z podziemi. Bolszewizm, rewolucja... Mniejsza o nazwę. Wobec niebezpieczeństwa trzeba znaleźć siłę w sobie. Czy rozbite społeczeństwo znajdzie ją w sobie?

Wysoki sądzie! Mam satysfakcję, że siedzę na ławie oskarżonych. Mam dla sądu szacunek. Sąd stał się puklerzem prawa i wierzymy, że nim pozostanie. Wyrok to rzecz sądu...

Dziś wygłoszą swe „ostatnie słowo" pozostali oskarżeni, a mianowicie pp. Kiernik i Putek.

Pióro

— Wszędzie
boskie to narzędzie
jest błogosławione!
W którą jeno świata stronę
spojrzysz
wszędzie dojrzysz
pióro dobroczynne.
Żadne inne
instrumentum, nie jest tak kochane,
jak one, pióro używane
ręką dziecka, kmiotka, grafa czy przez
dziennikarza.
— Skromną pożyczkę biorąc z
kałamarza,
karmi tem czy owem miljony narodów
i, tych z „pępka świata" i, tych z
antypodów!..

Servus.

DANIEL BACHRACH.

Śladami przestępców

Sensacyjne pamiętniki

b. aspiranta Warszawskiego Urzędu Śledczego

„O krok od hańby"

Adwokat F. zadzwonił na jednego z urzędników i wydał mu polecenie, by mu pod żadnym pozorem nie przeszkadzano i rozpoczął:

— Ustaliłem, że nieboszczyk przeszło rok chorował i przez cały ten czas nie opuszczał łóżka. Stwierdziłem również, że panna von M. bardzo starannie go pielęgnowała i nie odstępowała na krok. Jak zresztą sama przyznaje, tylko ona podawała mu lekarstwa i nie wyręczała się nikim. Co najgorsze, że, jak ustalone zostało, trucizna znajdowała się w podanem środku nasennym. Mniej więcej przed dwoma tygodniami, jak twierdzi panna von M., przed udaniem się na spoczynek dała nieboszczykowi przygotowany środek na sen. Kiedy następnego dnia rano weszła do jego pokoju ,znalazła sztywne zwłoki. Natychmiast wezwała domowego lekarza, który mógł tylko stwierdzić zgon.

Jak wynika z zeznania złożonego przed sędzią śledczym, doktór był bardzo zdziwiony tą nagłą śmiercią, gdyż jak oświadczył, zmarły poprzedniego wieczora czuł się bardzo dobrze i nic nie zapowiadało tak bliskiej katastrofy. Co najbardziej obciąża pannę von M. to znaleziona na nocnym stoliku szklanka z środkiem nasennym, wktórej właśnie wykryto podczas analizy resztki jakiejś egzotycznej trucizny.

Spojrzałem znacząco na mego kolegę pana K. Zrozumiał mnie, gdyż uśmiechnął się znacząco.

— Czy pan mecenas przypuszcza, że gdyby panna von M. dała nieboszczykowi truciznę, to byłaby na tyle nieostrożna, by pozostawić ślady jej w szklance. Czy nie byłoby raczej prawdopodobne, że o ile popełniła tę zbrodnię, to starałaby się wszak wszelkie ślady zatrzeć za sobą? — zapytałem.

— Ależ naturalnie! Zwróciłem na to uwagę sędziemu śledczemu, który jest tego samego zdania, jednakże komisarz policji kryminalnej, który prowadzi dochodzenie w tej sprawie jest zdania, że najwytrawniejszy przestępca popełnia nieostrożność i to przyczyna się do jego zguby.

— Nie przeczę, że tak jest — odpowiedziałem, — ale tu ta nieostrożność wydaje mi się zbyt wielka. Jakto, morderca wlewa trucizny do szklanki i po wypiciu trucizny przez ofiarę, popełnia ten błąd ,że pozostawia ślady swej zbrodni na miejscu? Wszak przestępstwo popełnione zostało z premedytacją i w tym wypadku zbrodniarz musiał przedewszystkiem pomyśleć o ukryciu śladów, popełnionej przezeń zbrodni. Odnoszę wrażenie, że mordercy zależało na tem, by skierować podejrzenia w mylnym kierunku.

— Jest jeszcze jedna bardzo silna poszlaka przeciw niej. W jej pokoju znaleziono tabletki, jakie podawała ona nieboszczykowi i które powinny się były znajdować w podręcznej apteczce. Panna von M. zeznała, że nie wie, w jaki sposób znalazły się one w jej szufladzie. Zresztą na miejscu będą panowie mogli wszystko dokładnie stwierdzić. Mogę panów zapewnić, że sędzia śledczy pójdzie panom na rękę i będzie nawet zadowolony z waszej współpracy, gdyż i jemu cała ta sprawa wydaje się podejrzana i wątpi w winę panny von M. W każdym razie dam panom do niego list polecający i jestem przekonany, że z jego strony możecie oczekiwać na daleko idącą pomoc.

Po wyjściu od adwokata i załatwieniu z panem R. kwestji materjalnej na wydatki, połączone ze sprawą, tego jeszcze wieczora wraz z kolegą K. wyjechaliśmy do Opola. W drodze naradzaliśmy się, w jaki sposób wziąć się do sprawy. Doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie, jeżeli nikt nie dowie się ,że jesteśmy detektywami, przynajmniej narazie. Oczywiście sędzia śledczy, do którego mieliśmy list polecający, musiał być wtajemniczony, ale co do niego nie mieliśmy żadnej obawy. Zastanawialiśmy się tylko, czy wtajemniczyć komisarza, prowadzącego dochodzenie i postanowiliśmy dopiero na miejscu powziąć co do tego decyzję.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wesoły Kącik

MÓWKA POGRZEBOWA



Do kawiarni weszło dwóch panów. Jeden starszy już mężczyzna, drugi może dwudziestokilkuletni młodzieniec. Zajęli stolik, obstalowali kawę.

Starszy pan wstał, włożył na nos okulary, wyjął z kieszeni kilka luźnych kartek i głosem pełnym żalu zaczął czytać:

„Drogi przyjacielu! Oto na twą trumnę spadła z głuchym łoskotem pierwsza grudka ziemi. Nastał kres twego, pełnego pięknych czynów, żywota. Odchodzisz od nas na zawsze. Lecz w naszych sercach pamięć o to bie nigdy nie zaginie. Teraz gdy grabarze nad twą trumną..."

Głos starszego pana rozlegał się donośnie po sali kawiarnianej. Zdumieni goście i kelnerzy zamilkli. Wszystkie oczy były zwrócone na mówcę.

A on wpatrzony w swoje kartki nie widział nic poza niemi i czytał dalej.

„— Zabrała cię nam śmierć, z serc naszych nie wydrze..."

Pierwszy odzyskał zimną krew właściciel kawiarni.

— Warjat! — trącił stojącego przy nim bufetowego. — Do jakiegoś nieboszczyka gada.

— Pewno od Bożego Jana uciekł — zgodził się bufetowy.

— Taki — zaniepokoił się go spodarz — teraz do nieboszczyk gada, a za chwilę statki będzie tłukł. Co robić?

— Nie da rady. Trza policję zawiadomić, póki spokojny — poradził bufetowy.

Gospodarz na palcach wysunął się do sąsiedniego pokoju i połączył się z komisarjatem policji.

— Panie przodowniku — meldował — tu do mnie, do kawiarni jakiś warjat przyszedł. Na pewno od Bożego Jana uciekł. Stoi przy stoliku i na głos o nieboszczykach gada. Boję się, żeby furji nie dostał...

A starszy pan czytał dalej. Siedzący przy nim młodzian ocierał dyskretnie oczy.

Po 10 minutach zjawiło się dwóch posterunkowych. Wzięli delikatnie starszego pana pod ręce i wyprowadzili go do stojącej przed kawiarnią dorożki.

— Co się stało? — zdziwił się starszy pan.

— O... nic... drobnostka... niech pan będzie spokojny — uspakajali go, wiedząc że z warjatem trzeba być ostrożnym.

— Pańskie nazwisko? — spytał dyżurny przodownik.

— Alojzy Marmurek! Ale mo że mi pan wytłumaczy, dlaczego mnie zatrzymano? — gorączkował się starszy pan.

— Chcemy pana odwieźć tam skąd pan uciekł.

— Ja?! Ależ ja od 20 lat mieszkam w tym samym domu na tej samej ulicy! Proszę, oto moje dowody...

— No... to dlaczego pan udawał warjata?

— Ja?!!

— No tak. Gadał pan na głos do jakiegoś nieboszczyka.

— Ależ ja wygłaszałem mówkę pogrzebową!

— W kawiarni?!

— Bo uważa pan, dziś był pogrzeb mego serdecznego przyjaciela. Przygotowałem sobie, żeby go uczcić, mówkę pogrzebową. Ale kiedy zaczałem ją wygłaszać spadł deszcz. Wszyscy się rozbiegli, został się tylko najbliższy krewny zmarłego, jego bratanek. Więc, żeby się nie narażać na przeziębienie, posta nowiliśmy wejść do kawiarni i tam zakończyć przemówienie ku czci zmarłego.

Napoleon Sądek.

Jeszcze w sprawie rzekomego zwolnienia 2 robotników polskich w fabryce „Amada"

W związku z wiadomością, jaka się ukazała ostatnio w niektórych pismach, otrzymaliśmy garść informacyj, które chętnie zamieszczamy, aby należycie oświetlić właściwy przebieg sprawy.

Wiadomość, która ukazała się ostatnio w niektórych pismach o zwolnieniu przez Zakłady Przemysłowe „Amada" w okresie zimowych miesięcy 2 robotników obywateli polskich okazała się nieścisłą, gdyż w ostatnich miesiącach żadne redukcje robotników nie były przeprowadzane, co może być stwierdzone w każdej chwili na podstawie list płacy.

Natomiast wiosną roku ubiegłego jeden z robotników obywateli polskich ustąpił z własnej woli, aby, jak sam oświadczył, powrócić do Polski celem objęcia w posiadanie gospodarstwa odziedziczonego po teściach. Inny robotnik, również obywatel polski, nazwiskiem Osesek, został zredukowany w maju roku ubiegłego wraz z 18 gdańskimi robotnikami z powodu zmniejszenia produkcji.

Już w sierpniu jednak ubiegłego roku Osesek został wezwany zpowrotem celem ponownego objęcia pracy, której jednakże nie przyjął. Oświadczył on, że ma inne stałe zajęcie na dobrych warunkach i powrócić do firmy „Amada" nie może.

Warto nadmienić, że obaj wymienieni polscy robotnicy cieszyli się dobrą opinją i mogą zawsze liczyć na przyjęcie ich zpowrotem do pracy, o ile stan zatrudnienia fabryki pozwoli na zwiększenie liczby robotników.

Dla orjentacji należy dodać, że Zakłady Przemysłowe „Amada" w Gdańsku, których organizacja sprzedaży znajduje się obecnie w Warszawie, zatrudniają obecnie około 200 obywateli polskich, a mianowicie 20 w fabryce w Gdańsku, 150 w filjach i składach rozsianych w Polsce oraz 30 przedstawicieli w różnych miastach Polski. Kapitał przedsiębiorstwa należy w 100 proc. do grupy angielsko - holenderskiej.

W związku z powyższem uważamy za stosowne zaznaczyć, że Zarząd w stosunku do swych pracowników nie stosuje żadnej polityki i traktuje wszystkich wedle uzdolnienia i kwalifikacyj, zarówno przy przyjmowaniu, jak i przy zwalnianiu.

NA BEZDROŻACH MIŁOŚCI

Osnuty na prawdziwem zdarzeniu dramat ze sfer arystokracji

Październikowy wczesny zmierzch spowił już ciemną zasłoną wierzchołki drzew gąszczu leśnego w powiecie małosławickim, gdy nagle huknął strzał... Rozległ się głośnem echem po całej Rzeczypospolitej, tak był brzemienny w skutki. Stał się pierwszym aktem wielkiego miłosnego dramatu rodzinnego, który przed laty wstrząsnął całym krajem, budząc zgrozę i przejmując do głębi.

Po tym strzale rozdarł ciszę leśną głuchy jęk i rzężenie umierającego. Potem zapanowała śmiertelna cisza, przerywana tylko niekiedy szelestem skrzydeł kruczych. Czarne ptaki węszyły żer...

Wtem znów jakiś szmer, odgłosy jakiegoś zmagania, tarzania się po ziemi...

I jeszcze jęk, tym razem słabszy. Ostatni. Zakrakały głośniej kruki...

Zapadła noc, mroczna i wilgotna...

Trzasnęły gałęzie... Przedarł się przez nie jakiś człowiek, biegnący naoślep z rozwianym włosem. W prawej ręce ściskał kurczowo strzelbę myśliwską, trzymaną za lufę. Dyszał ciężko.

Wreszcie zwolnił biegu. Stanął. Otarł pot z czoła. Ujrzał przed sobą dwór szlachecki. Skierował ku niemu swe kroki.

Musiał być u siebie w domu, bo nie zapalając światła, wszedł pewnym krokiem do dworu. Wkroczył do jednego z pokojów. Tu dopiero zaświecił lampę. Spojrzał na ręce. Były poplamione krwią.

Pogrążył się w zadumie. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni kilka listów. Były też pokrwawione. Odepchnął te listy od siebie. Wyjął z szuflady rewolwer i położył przed sobą na stole. Potem wziął duży arkusz papieru i nerwowo zaczął pisać:

„Do JWPana Prokuratora Sądu Okręgowego.

Ja, Franciszek Bukowski, zamieszkały we własnej posiadłości Buków powiatu małosławickiego, oświadczam i przyznaję się, że przed godziną w t. zw. „Wilczym borze" popełniłem zbrodnię i zamierzam wnet popełnić drugą tu u siebie w domu. Poniżej całą sprawę dokładnie wyłożę.

Dwór jest w rękach naszego rodu według herbarza Niesieckiego już od r. 1526. Chcę przez to powiedzieć, że należę do starej szlachty z dziada, pradziada o wiekowych tradycjach.

Spokojny i beztroski żywot wiodłem w mojej głuszy. Tak upłynęło 40 lat mego życia w samotności. Byłem jedynakiem, nie chciałem jednak naszego rodu skazywać na wymarcie. Dlaczego pomyślałem o tem tak późno? Z byle kim nie chciałem wstępować w związki małżeńskie. Mam obowiązki wobec naszego rodu. Z natury jestem wielce nieufny. Starano się naraić mi tę lub inną pannę, ale wahałem się z decyzją. Pochodzenie jednej nie odpowiadało mojemu, druga miała nieco zachwianą opinję, trzecia wydawała mi się za „nowoczesna". Poza tem byłem dzikusem, odludkiem, nie przyjaźniłem się z sąsiadami, dość, że jakoś sprawy małżeńskie nie kleiły się.

Pewnego dnia, przed pięciu laty, będąc w Małosławicach, ujrzałem w ogródku, okalającym mały domek, prześliczne dziewczę, siedzące na ławeczce. U jej nóg klęczała mała dziewczynka. Położyła płową główkę na kolana starszej. Tamta ją gładziła pieszczotliwie po policzkach i włosach. Były obie tak urocze, że wprost nie mogłem oderwać oczu od tego obrazka.

Nazajutrz dowiedziałem się, że to dwie niezamożne sieroty, które mają po rodzicach tylko ten domek i malutki kapitalik, z którego ledwo mogą wyżyć. Co tu dużo pisać, słowem: zakochałem się w starszej, imieniem Genia. Druga, Renia, była o pięć lat młodsza.

Przywykłem całe życie iść do celu prostą i szybką drogą. Poszedłem natychmiast do Geni, przedstawiłem się i powiedziałem:

— Nie próbowałem nigdy zalotów. Nie wiem, jak to się robi. Powiem więc krótko: podoba mi się pani i proszę o rękę pani.

Oczywiście, dodałem parę słów o sobie. Była tak zaskoczona, że oniemiała. Uspokoiła się wreszcie i prosiła o czas do namysłu.

— Wrócę po odpowiedź za dwa tygodnie — odpowiedziałem.

A gdy wróciłem, odparła, że narazie jeszcze nie może się zdecydować. Jak się później dowiedziałem, informowała się o mnie. Opinja wypadła nienajlepiej. Mówiono, że jestem mruk, dzikus, despota. Zresztą, wszystko prawda.

Ale właśnie dlatego, że jestem despotą, nie lubię, gdy mi się ktoś opiera. Ja zawsze muszę zwyciężyć. Rzucałem się często na parobków - osiłków, ale z taką potężną wolą zwycięstwa, że każdy musiał mi ulec. Niema dla mnie nic milszego, niż ujeżdżanie dzikich lub znarowionych koni. Powiedziałem sobie:

— Nie chcesz być moją żoną? To właśnie dlatego będziesz!

I rzeczywiście, udało mi się szybko przełamać lody. Uderzyłem w jej czułą strunę: miłość siostrzaną i opiekę macierzyńską nad siostrzyczką. Przekonywałem, że sama nie zdoła wychować należycie małej Reni. Narazie osiągnąłem tyle, że zgodziła się odwiedzić mnie w Bukowie.

Dwór mój nie podobał się jej. Nic dziwnego. Jest mroczny, zimny, głuchy. Tem bardziej nie wiem, dlaczego nagle bardzo spodobał się małej Reni.

Poprostu nie chciała stąd wyjść. Zdaje mi się, że tylko dlatego, aby zrobić siostrzyczce tą przyjemność, Genia zgodziła się wyjść za mnie.

Nie łudziłem się wcale, że mnie nie kocha. Ale postanowiłem postawić na swojem. Więc już na nic nie zwracałem uwagi.

Musiałem z konieczności zaprosić parę osób na nasze skromne gody weselne. Byłem zły. Bo w ślubnej bieli, w śnieżnym welonie, wydała mi się tak zjawiskowo piękna, że chciałem sam tylko mieć prawo do spoglądania na nią. I tak sobie myślałem, zwracając się myślą do gości weselnych:

— Już trudno, gapcie się dziś na nią, więcej jej nie zobaczycie. Żywej duszy tu więcej nigdy nie wpuszczę. Nie pozwolę nikomu nawet na nią spojrzeć.

Nazajutrz też dałem wszystkim do zrozumienia, że nikogo nigdy więcej nie zamierzam u siebie przyjmować. Uznano mnie powszechnie za jeszcze większego dziwaka, niż dotychczas. Nawet znienawidzono mnie. Niektórzy litowali się, że zwarjowałem z zazdrości. Ale mnie to wszystko nic nie obchodziło.

Tak, byłem zazdrosny, chorobliwie, do obłędu. Trudno, taka już moja natura. Wolno mi pieniądze zamykać na klucz przed złodziejami? Dlaczegóż nie wolno mi jeszcze skrzętniej strzec mojej żony, która mi jest jeszcze znacznie droższa? A, zresztą, czegóż mam się tłumaczyć?!... Moja żona, mam więc prawo robić z nią, co mi się żywnie podoba. A wam zasię...

Tak minęło pięć lat. Przez cały czas żywa dusza nas nie odwiedziła, ani my nikogo. Ilekroć wychodziliśmy z dworu, to tylko do lasu i zawsze razem.

Tymczasem i Renia wyrosła na śliczną dziewczynę. Kochały się z siostrą, jak dwie gołębice. Oczywiście, do Reni, żadne rygory się nie stosowały. Miała całkowitą swobodę ruchów. I to właśnie był mój błąd, za który tak ciężko odpokutowałem. Gdybym ją też uwięził, nie doszłoby do zbrodni w Wilczym Borze, którą popełniłem i do tej, którą wnet popełnię.

Biegała więc Renia całemi dniami po polach i lasach i tam spotkała pewnego dnia Janka Rolicza, 24-letniego syna Stanisława Rolicza, mojego sąsiada. Ledwo się poznali, już się pokochali. Oświadczył się o jej rękę. Partja pierwszorzędna, grzech byłoby odradzać. Zaręczyli się.

Nie było rady, trzeba było chwilowo rozluźnić więzy Geni. Zapraszano nas często do Roliczów. Odmawiałem raz i drugi, ale ostatecznie zrozumiałem, że to nie ma sensu i zgodziłem się. Genia jakby się odmieniła. Nagle zrobiła się wesoła, promienna, radosna. Ja drżałem ze strachu, choć nie było właściwie powodu. Janek był rozkochany w Reni. U Roliczów bywał Piotr Tyrecki, zięć starego Rolicza, mąż jego córki Marji. Niby też bardzo zakochany w swojej żonie. Ale był młody, bardzo przystojny, więc miałem się na baczności: djabeł nie śpi! Czuwałem ustawicznie, ale niczego podejrzanego nie dostrzegłem.

Aż tu nagle... Przed tygodniem Genia czytała książkę. Stałem obok i czuwałem. Wtem wpada Renia, mówi, że idzie do Janka i prosi, żeby ją Genia odprowadziła do furtki. Genia odłożyła książkę. Wyszła z pokoju. Patrzę i dostrzegam w książce jakby schowany rożek listu. Jakby grom we mnie uderzył. Coś mi strzeliło do głowy... Przeczytałem list.

Najgorsze przeczucia, niestety, się sprawdziły. Był to list miłosny. Zaadresowany do Piotra Tyreckiego i jeszcze niezalepiony. Zaczynał się od słów:

„Najukochańszy mój Piotrusiu!" Tchnął żarem miłości, namiętnej, lecz trwożnej, płomiennej, lecz ukrywanej, wzywanej i... zwalczanej w sobie... Oto urywek tego listu:

„Gdym Cię nie znała, życie było dla mnie jedną wielką samotnością. Odkąd się znamy i kochamy — życie jest dla mnie jedną wielką trwogą. Drżę na myśl, że ktoś mógłby posiąść tajemnicę naszej miłości. Ukrywajmy się najstaranniej. W razie wykrycia — grozi mi śmierć. Wzywałam ją dawniej nieraz, ale teraz chcę żyć, żyć za wszelką cenę! Twoja Genia tak bardzo teraz boi się śmierci"...

Zakląłem długo i siarczyście. Co za czary?! Jakto, więc przez pięć lat nie odstępuję żony ani na krok (tyle tylko, że mamy dwie sypialnie, ale jej sypialnię zamykam na klucz osobiście), więżę, jak najgorszego zbrodniarza, męczę się i dręczę, a tu ona czarne na białem pisze, że nigdy nie zapomni tych pieszczot... Jak wywnioskowałem z listu, trwa ta rozpusta już trzy miesiące! A ja o tem nic nie wiem.

Wściekłość mnie zaślepiła. Pałałem taką nienawiścią, że chciałem natychmiast biec za Genią, chwycić za gardło i zadusić w obliczu jej siostry. Już biegłem nawet, ale się zatrzymałem. Pomyślałem sobie:

— Nie. Najpierw muszę zgładzić tego chłystka, a potem dopiero zabiorę się do niej...

Schowałem list zpowrotem do książki. Tydzień dusiłem w sobie wściekłość, codziennie, całemi oniami polując na gacha mojej żony. Aż mi wreszcie wpadł w ręce. Jak sobie z nim dałem radę, sam się Pan Prokurator przekona. Nie chcę ułatwiać zadania władzom śledczym.

Z kieszeni jego wyjąłem listy. Nie były to listy zakochanego, błagającego o pocałunek, jak o największe szczęście. Były to listy kochanka, który już... o nic więcej błagać nie potrzebował... Chyba o powtórzenie... No, ale już tego nie doczeka!

Teraz właśnie zabieram się do mojej małżonki. Przyjdzie do głosu mój rewolwer. Nie chybi jej, a potem — mnie.

Jeszcze tylko parę słów, Panie Prokuratorze. Jeżeli chcę popełnić samobójstwo po zamordowaniu mojej żony, to bynajmniej nie z wyrzutów sumienia lub stracenia chęci do życia. Wyrzutów sumienia nie mam i nie miałbym nigdy. Uważam, że wymierzyłem tylko sprawiedliwość. Ukarałem winnych. Kocham życie i kochałbym je do ostatniego tchnienia. Ale chcę uniknąć aresztowania, procesu, więzienia. To zbyt wielka obrzydliwość. Mam wstręt do sądów i więzień. Więc po zastrzeleniu żony, palnę sobie w łeb, przyznam się, z wielką przykrością, z żalem, bo życie jest tak piękne! Ale tylko na wolności. Lepiej gnić w grobie, niż w więzieniu. Przynajmniej tam nikt mną nie będzie pomiatał ani rządził. O, bo rządzić sobą nigdy nie pozwalałem nikomu! Taki zawsze byłem i taki pozostaję

Franciszek Bukowski".

Po napisaniu listu, obmyślił plan dalszego działania. Nie wpuści do pokoju służącego. Nie chce, aby ujrzał błysk przygotowanego rewolweru i krwawych plam na listach oraz na rękach swego pana. Dla pewności zamknął drzwi na klucz. Powie służącemu, co zechce, przez drzwi zamknięte. Potem je otworzy, czekając na żonę przy drzwiach. Gdy tylko żona wejdzie, natychmiast znów zamknie drzwi na dwa spusty.

Nacisnął guzik dzwonka. Rozległ się po długich szeregach pokoi dźwięk jakiś zimny, przejmujący, żałobny, cmentarny, aż zamarł w oddali...

Po chwili słychać było miarowe stąpanie służącego. Nie zdążył jeszcze nacisnąć klamki, gdy usłyszał z ust swego pana z za drzwi:

— Powiedz pani, że proszę, aby przyszła do mnie natychmiast.

Dalszy ciąg nastąpi

SZUMOWINY WARSZAWY

Opowieść o niezwykłych, a prawdziwych wydarzeniach z życia stolicy

Mardek odepchnął go od siebie nogą, jak gada.

Przez chwilę wątpił. Nie wierzył. Z pewnością Szlaja wymyślił to wszystko, aby mu się wyrwać. Ale jeżeli ta ohyda była prawdą? Mardek przeżywał piekielne katusze.

Szlaja triumfował. Mardek zaś rzekł:

— Łotrze, postanowiłem sobie zgładzić cię z tego świata i prędzej czy później tego dokonam. Ale jeżeli mi oddasz Polcię, przebaczę ci wszystko i zaniecham swego zamiaru.

— Nie boję się twoich gróźb i bachora nie oddam.

— Owszem, boisz się. Nie udawaj zucha. Patrz mam tu dużo, dużo pieniędzy. Oddam ci to wszystko za Polcię.

— Twojej forsy nie potrzebuję, bo na pierwsze skinienie Jadźka mi je przynosi, ile zażądam. A jeżeli oddam bachora, stracę wszystko.

— Starczy ci na wyjazd do Ameryki.

— Zbyt kocham Warszawę.

— Posłuchaj mnie po raz ostatni. Słowa dotrzymam: zdechniesz z mojej ręki. Ale jeżeli mi oddasz Polcię, aby mieć pewność, że ci się nic nie stanie, możesz mnie natychmiast własnoręcznie zabić, albo ja to uczynię w twojej obecności sam. I jeszcze napiszę list do policji, aby nikogo nie winiono z powodu mojej śmierci. No? Zgoda?

— Nie. To wszystko bujdy na resorach. Mówmy poważnie. Już jest wpół do dwunastej. Wcześniej, jak za pół godziny na Karolkową nie zajadę. Taksówek tu niema. A jeżeli punkt dwunasta nie będę u Fijca na samym końcu Karolkowej, to sam rozumiesz... A więc...

I usiłował zerwać sobie pętlę z szyi. Nie udawało mu się to, rzekł więc:

— Pomóż mi, brachu, bo mnie graby bolą, tak mnie ta Jadźka pokrajała.

Co było robić? Mardek niechętnie usłuchał...

— I oddaj mi to, coś wyjął z doliny...

Mardek oddał.

— A teraz, ponieważ z pewnością wszędzie dookoła sterczą gliny, pójdziesz razem ze mną, aby mnie nie zatrzymali, bo każde spóźnienie grozi Polci śmiercią.

Wyszli. Po drodze Mardek szepnął Pimulskiemu i Bonackiemu:

— Puśćcie go. Niestety, jest silniejszy, niż my. Nie damy mu rady...

Przy stoliku u Zawady Mardek opowiadał wszystko Pimulskiemu i Bonackiemu. Potem wspólnie odczytali list, znaleziony przy Szlai. Brzmiał on:

„Towar za ciężki. Nie wytrzymamy długo. Niektóre frajery chcą nam go zwędzić. Myślą, że to jaki wielki skarb. Dookoła dużo gliny. Przylepia się do nas. Najlepiej, jeżeli go od nas zabierzecie i wyślecie na zieloną trawkę".

Nietrudno było domyśleć się, o co chodzi. Tym, którzy chowali u siebie Polcię, ciążyło to już widocznie. Bali się współzawodników i policji. Doradzali wywiezienie jej na wieś.

Ale kto to pisał? I skąd?

Wtem Mardek rzekł:

— Mam myśl.

— Co takiego?

— Nie chcę wam mówić, póki się nie uda. Wnet się przekonacie.

Pobiegł do suteren tegoż domu, gdzie jak już wiemy, mieszkało kilku żebraków, mających zawsze w zapasie odpowiednie łachmany w celu wzbudzenia litości. Kupił od jednego z dziadów najbardziej potargane szmaty i włożył na siebie. Gdy wrócił do szynku, wcale go nie poznano. Pimulski, Bonacki i gospodarz oczom swym nie wierzyli.

— A teraz — rzekł Mardek — idę w drogę z nadzieją w pomyślny skutek.

Gdy oglądano list do Szlai, wysłany pocztą, stwierdzono, że został wrzucony do skrzynki wpobliżu dawnej meliny Grubachnej. Z tegoby wynikało, że wbrew pozorom nie przeprowadziła się daleko. Mardek przypomniał sobie, że jeszcze dalej ku krańcom miasta, już w szczerem polu znajdowały się rozwalone szopy, coś w rodzaju obozu cygańskiego, gdzie rej wodziła stara cyganka, zwana Fajczarką, nie wyjmująca fajki z ust. Odbiła się niegdyś od obozu i miała „przedsiębiorstwo" śmieciarsko - szmaciarskie. W rozwalonych szopach mieszkali rozmaici śmieciarze i śmieciarki, którzy grzebali się w śmietnikach i w śmieciach, wywożonych za miasto, aby stamtąd wydobywać szmaty, kości oraz „cenniejsze" odpadki, które można było spieniężać. Pracowali dla niej za mieszkanie, utrzymanie i parę groszy.

Mardek w łachmanach udał się do Fajczarki i prosił o przyjęcie go do pracy. Spojrzała na niego podejrzliwie, poczem rzekła:

— Twoje szczęście, że wczoraj jednego z moich przyskrzynili. Możesz być na jego miejsce. Ale widzę, żeś strasznie słaby...

— Nie mam gdzie spać, nie mam co do gęby włożyć.

Musiał się spodobać Fajczarce, bo rzekła:

— Znaj moją dobroć. Dostaniesz żarcie i możesz przez dzień dzisiejszy kimać. Będziesz miał jutro więcej sił do pracy.

Był rzeczywiście tak wyczerpany przeżyciami ubiegłej nocy, że zwalił się na nędzny barłóg i zasnął kamiennym snem.

Nazajutrz od rana Fajczarka przydzieliła mu kupę śmieci do posortowania. Siadł wraz z innymi towarzyszami niedoli, którzy nawet nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Przyzwyczajeni byli do coraz to nowych twarzy. Mardek zaś myślał sobie: a jeżeli się myli? Jeżeli tu wcale nie odnajdzie Polci? Więc czego się właściwie paskudzi?

Dzień minął, a w rozmowach, toczonych dookoła niego, ani razu nie padło imię Grubachnej, Padołka czy Polci. A przecież jakoby tak wiele o tem mówiono!...

Mardek już był w rozpaczy dopiero pod wieczór jakiś chłopaczek zbliżył się do grupy śmieciarzy, żując kawał czerstwego chleba. Jedna ze śmieciarek, tłusta, rozlana dziewczyna, zawołała:

— Te, Wnuczek, jak się miewa babka?

— Jak twój dziadek! — odparł malec pogardliwie i zniknął. Ale Mardek był już bardzo szczęśliwy. Przeczucie go nie omyliło. To z pewnością ów Wnuczek od Grubachnej. Ale jak teraz tego Wnuczka znaleźć?

Gdy tylko skończył robotę począł się kręcić dokoła, wypatrując Wnuczka. Wreszcie znalazł go, grającego w guziki z innymi chłopakami. Wziął go na stronę. Pokazał mu zegarek. Zapytał:

— Chcesz?

— Pewno buchnięty? Boisz się trzymać?

— Nie. Chcę ci podarować. Za cos.

— A co takiego?

— U kogo mieszkasz?

— U Grubachnej i Podołka.

— A kto tam jeszcze jest?

Wnuczek przerażił się. Milczał. Na to Mardek wyciągnął pięciozłotówkę...

Tem tylko jeszcze bardziej zatrwożył Wnuczka, który wziął nagle nogi za pas i dla pewności uciekł czemprędzej.

Dalszy ciąg nastąpi

IKS.

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

„Mała" z ul. Dobrej

tak nam się skarży na swój los:

„Zajmuję bardzo niskie stanowisko w społeczeństwie. Jestem służącą, a więc należę do kasty najniższej. Ale przecież i ja jestem człowiekiem, liczę więc na to, że Pan Redaktor nie odtrąci mojej spowiedzi.

Przed 4 laty poznałam chłopca, który chciał się ze mną ożenić. Nie kochałam go, o czem on wiedział, a jednak zgodziłam się w obawie staropanieństwa (dziś mam już lat 30). Tak się złożyło wszakże, że musiałam wyjechać do Warszawy i tu poznałam chłopca, którego pokochałam całem mojem jestestwem. Choć żal mi było pierwszego, ale ten drugi tak mnie oczarował, że o tamtym zupełnie zapomniałam. Gdy mnie zapytał, co mnie łączyło z pierwszym, przyznałam się z całą szczerością, że tamten miał mnie pierwszy i wogóle tylko raz, ponieważ nasz ślub już był postanowiony. Po kilku miesiącach naszej znajomości ten drugi poprosił mnie, abym poszła do niego. Poszłam ze strachem, bo wiedziałam, że to się dobrze nie skończy. Najbardziej bałam się plotek, ale zapewnił mnie, że potrafi mnie przed niemi obronić. Trzymałam się ostro i o prócz pocałunków do niczego nie dopuszczałam.

A jednak po tygodniu mi oświadczył, że zaraził się ode mnie okropną chorobą. Pobiegłam zaraz do doktora i okazało się, że jestem zupełnie zdrowa. Uspokoiłam się co do siebie (zresztą, inaczej wcale przecież być nie mogło), ale dręczyła mnie jego choroba. On tymczasem, widząc, że to nie ja zawiniłam, wziął się energicznie do leczenia, przez cały czas spotykając się ze mną. Gdy go zapytałam o zamiary wobec mnie, odrzekł: „Malutka, jeżeli się kiedy ożenię, to tylko z tobą. Daję ci na to słowo honoru". Uwierzyłam i wobec tego zawiadomiłam pierwszego, że z nim zrywam. Ten w wielkiej rozpaczy przyjechał do mnie, błagał mnie na klęczkach, abym wróciła do niego, chciał natychmiast brać ślub, ale pozostałam głucha na jego błagania, bo tego drugiego, to moje słonko, kochałam ponad wszystko na świecie.

Wreszcie kuracja jego się skończyła. Doktorzy orzekli, że jest zdrów zupełnie. Teraz już mnie miał na każde żądanie. Narażałam się dla niego na plotki i mnóstwo przykrości. Gdy wspominałam o ślubie, odparł, że z pewnością za pół roku. Wiedziałam, że mnie nieraz zdradzał i gdy mu to zarzucałam, odpowiadał: „Mała, nie przejmuj się, to tylko takie głupstewka!"

Nazywał mnie żoną wobec moich i swoich znajomych. A jednak zaczął mnie unikać. Aż tu nagle dostaję od niego list: „Malutka, wyjeżdżam na praktykę. Potrwa to może rok, a może i trzy lata. Nie zrywam z Tobą, ale chcę wiedzieć, co o tem myślisz. Innego wyjścia nie miałem. Szczegóły w następnym liście". Nie mogłam mu odpisać, bo adresu nie podał. Drugiego listu też nie przysłał. I oto teraz zostałam po 2 latach wielkiej nadziei przy niczem.

O, gdybym go była nie posłuchała, zwłaszcza wtedy, gdy mi doradzał zapobiec macierzyństwu! Miałabym przynajmniej teraz dla kogo żyć, a tak jestem niepotrzebnym sprzętem. Jestem, coprawda, jako służąca, wielce przez moje pracodawczyni lubiana, ale to zadowolenie nie zastąpi mi szczęścia macierzyńskiego i szczerej przyjaźni, której tak łaknę.

Jedyna moja nadzieja w Tobie, Doktorze dusz ludzkich, ulecz ból wydrukowaniem mego listu. Mój ukochany stał się za moim przykładem gorącym zwolennikiem „Ostatnich Wiadomości". Może po przeczytaniu tego listu wróci do mnie, a ja wtedy co rana i wieczora modliłabym się za Pana Redaktora. Gdyby nie tliła się we mnie iskra wiary w życie zagrobowe, już dawno wypiłabym truciznę, bo moje nerwy już dłużej nie wytrzymają takiej udręki. Ostatnia moja nadzieja w kochanych „Ostatnich Wiadomościach".

Liczymy na to, że nadzieja ta nie zawiedzie Pani. Jesteśmy głęboko przekonani, że ów młodzieniec odezwie się na żałosne wołanie Pani. Doradzamy mu to usilnie we własnym jego interesie. Trudno bowiem przypuszczać, aby znalazł osobę, bardziej mu odaną, niż jego „Malutka". Niechże nie pozwala jej uronić ani jednej łzy więcej i czemprędzej wróci do tej, jak widać ze wszystkiego, przemiłej, dobrej i kochanej niewiasty.

„Nieszczęśliwa Olesia"

ma bardzo niedobrego tatusia. Co tylko zarobi, oddaje innym kobietom. Nieszczęśliwa mamusia cierpi głód i nędzę, aż rozchorowała się ciężko i leży w szpitalu. Wówczas ojciec córkę wypędził z domu. Za ostatnią złotówkę kupiła sobie esencji octowej i już w pewnej bramie dotykała ustami butelki, gdy wtem pewna pani chwyciła ją za rękę, przeszkodziła w zamiarze samobójczym, twierdząc, że takie śliczne i młodziutkie dziewczę nie powinno się rozstawać z tym światem, bo może jeszcze znaleźć męża i szczęście.

Narazie zabrała p. Olesię do siebie. Ale p. Olesia nie chce być ciągle na czyjej łasce i gorąco pragnęłaby pracować. Gotowaby przyjąć pracę jak najcięższą i jeszcze dziękować będzie, prosząc Boga o zdrowie dla tego, kto ją wyratuje z upadku i nędzy. Prosi nas, abyśmy jej w tem dopomogli.

Możemy to tylko uczynić, drukując list Pani i zwracając się do naszych Czytelników z apelem, aby się Panią zajęli.

„Dzikuska" z B.

kochała się w pewnym młodzieńcu z wzajemnością. Po pewnym czasie jej ukochany zaczął przyjaźnić się z inną niewiastą. Pałając zazdrością, „Dzikuska" nagadała na niego owej niewieście niestworzonych rzeczy. Ale nic nie pomogło. Udała się więc do jego zwierzchnika, powtórzyła to samo i naraziła go na wielkie przykrości. Po tem wszystkiem wyjechała do innego miasta. Obecnie tego, co uczyniła, gorzko żałuje i pyta nas, jak zło naprawić.

Trzeba mu napisać list z wielką skruchą i błagalną prośbą o przebaczenie za krzywdę, którą mu Pani wyrządziła. Może przezwycięży swój całkowicie usprawiedliwiony wstręt do Pani.

SZUMOWINY WARSZAWY

Opowieść o niezwykłych, a prawdziwych wydarzeniach z życia stolicy

Postanowiono, że Mardek otworzy drzwi wytrychem, a agenci obstawią wszystkie wyjścia.

Szlaja, nachylony nad zemdloną Jadzią tego wszystkiego nie słyszał... Wtem jakieś silne dłonie chwyciły go ztyłu za kark... Poczuł się nagle podniesiony do góry, jak piórko... Po chwili został ciśnięty w kąt tak silnie, że uderzając się głową o kant łóżka, padł ogłuszony...

Mardek szybko zamknął drzwi na klucz, podbiegł do zemdlonej Jadzi, położył ją na łóżku. Zwilżył chusteczkę i otarł jej czoło. Z radością spostrzegł, że otwiera oczy. Już nawet nie czuł piekącego bólu z rany na głowie. Jej oczy koiły najgorsze rany.

Jadzia rozwarła szeroko oczy, jakby starając sobie uprzytomnić, co się właściwie stało. Po chwili wreszcie zapytała, jakby poznając:

— To... pan?!

— Tak. Proszę już niczego się nie bać. Niech pani spojrzy — dodał, pokazując na leżącego bez ruchu Szlaję.

— Zabił go pan?

— Nie. Nie wolno nam tego uczynić, póki nie wskaże nam, gdzie jest Polcia. I ręczę pani, że wskaże, inaczej nie wyjdzie teraz stąd żywy.

— O, tak, niech pan ratuje Polcię! Przecież to nietylko moja córka, ale i... pańska... To pana obowiązek.

— Tak! Wiem! — odparł głucho.

Teraz dopiero dostrzegła, że jest ranny. Z pod bandaża przeciekała krew. Uśmiechnął się, mówiąc:

— To nic. Bagatelka. Niech pani dotknie swemi kochanemi rękami mojego czoła. I proszę potrzymać tak ze dwie - trzy sekundy. Będę odrazu uleczony tym dowodem przyjaźni, wspomnieniem dawnych... czasów...

Zwolna... podniosła ręce... i przyłożyła je do jego czoła. Była to pieszczota rozkoszna i niezapomniana w swej czystej niewinności.

Zapytał:

— Czy ufa mi pani?

— Całkowicie.

— Dziękuję pani. Przysięgam pani, że odnajdę Polcię. Uratuję ją albo padnę trupem. Niech pani się uspokoi.

— Ach, żeby pan słyszał groźby tego łajdaka!

Szlaja drgnął. Mardek to zauważył i rzekł:

— Nie wolno mu słyszeć, co mówimy. Zaraz się o to postaram.

Podbiegł do niego i trzasnął go pięścią między oczy. Szlaja znów zapadł w omdlenie. Mardek rzekł:

— Widzi pani. To takie proste. Znów mamy spokój na jakie dziesięć minut. Chcę jeszcze panią uprzedzić, że mąż pani... już wie wszystko. Nie powiedziałem mu nazwisk, ale nie wiedziałem, że jest pani mężem, więc opowiedziałem swoje i... nasze dzieje tak dokładnie, że domyślił się odrazu wszystkiego...

Jadzia jęknęła z rozpaczy... Mardek rzekł smutno:

— Już znów panią unieszczęśliwiłem. Taki już mój los. Ocalać panią i... unieszczęśliwiać... A Bóg mi świadkiem, że dla szczęścia pani oddałbym życie...

Odparła:

— Nie pana wina. Ale każdy grzech musi być ukarany jeszcze za życia. Musiało tak się stać prędzej czy później...

Po chwili sięgnęła do swej torebki, wyjęła z nich pieniądze, mówiąc:

— Nie dla pana były przygotowane. Ale niech pan je weźmie. Bez złej myśli. Przy poszukiwaniu Polci mogą być koszty...

Przez chwilę zawahał się, ale potem zgodził się, mówiąc:

— Będę zdawał dokładne rachunki z każdego wydanego grosza. Ale teraz już musimy się rozstać. Pani stąd wyjdzie, bo Szlaja znów zaczyna przychodzić do siebie. Ja sobie z nim pogadam w cztery oczy.

Mówiąc to, łypnął tak groźnie oczami, że Jadzia przeczuwała straszliwy dramat.

Podała mu dłoń. Zapytał:

— Czy nie zasłużyłem na nic więcej?

Nie odpowiedziała mu nic, ale gdy nachylił ku niej swe czoło, obramowane krwawemi bandażami, złożyła na niem leciutki, przelotny pocałunek. I wyszła...

Stał długo, jak skamieniały, pod potężnem wrażeniem owego pocałunku.

Wnet wszakże otrząsnął się z odrętwienia, mówiąc sobie:

— Czas załatwić rachunki.

Tymczasem Szlaja otworzył oczy, a poznając Mardka, natychmiast znów zamknął je, truchlejąc. Widząc to, Mardek uśmiechnął się pogardliwie. Rzucił się na Szlaję zrewidował mu kieszenie, przeszukał portfel, z którego wyjął tylko jeden list. Poczem odezwał się:

— Nie będę z tobą długo gadał. Uprzedzam, że wszelki opór złamię pięścią. A jak moje pięści smakują, przekonałeś się, bratku, już nieraz. Więc odrazu mów: gdzie jest Polcia?

— Nic nie wiem. Nic nie powiem, oprócz jednej rzeczy tylko. Spójrz na zegar.

— Wpół do jedenastej. I co z tego?

— Wkrótce się przekonasz.

— Nie mam czasu na zagadki. Tyle ci tylko powiem: choćbym miał iść po raz trzeci do kryminału i to nawet dożywotnio, nie wyjdziesz żywy z tego pokoju, póki mi nie powiesz, co chcę wiedzieć. Jeżeli będziesz milczał, zakatrupię cię i to nie odrazu. Najpierw będę męczył, dręczył i katował, tak, jak ty innych.

Szlaja drgnął. Ale udawał odważnego i rzucił:

— To możesz już zaczynać, kacie!

— Katem to ty jesteś. Ja — tylko narzędziem sprawiedliwości. Daję ci pięć minut do namysłu. Jeżeli nie powiesz, zabiorę się do ciebie po swojemu

Co rzekłszy, wyjął z kieszeni długi sznur z węzłami i rozglądał się, czy niema jakiego haka, by go powiesić. Szlaja z drżeniem serca przyglądał się przygotowaniom do kaźni. Mardek spojrzał na zegarek i oświadczył:

— Pięć minut minęło. Gadasz?

— Nie!

— Nie?

— Nie!

Mardek zarzucił mu pętlę na szyję. A jednocześnie chwycił rękę i zaczął wykręcać, aż kości trzeszczały. Zawołał

— Uprzedzam cię, że będę dla ciebie bezlitosny, jak ty dla innych!

Szlaja warknął:

— Nic nie powiem!

Mardek dźgnął go nożem w rękę. Krew trysnęła. Bandyta syknął z bólu.

— Powiesz?

— Owszem. Ale tylko, że już jedenasta...

— Nic więcej?

— Nic!

— To zdechniesz! Nie szkodzi! Będzie jednej parszywej kanalji mniej na świecie.

— A ja ci mówię, że nietylko będę żył, ale za chwilę będziesz błagał mnie na klęczkach o przebaczenie za wszystko, coś rzekł i zrobił teraz.

— Zawracanie głowy! — krzyknął Mardek i ścisnął pętlę na szyi Szlai. Rzekł:

— Liczę do trzech: raz! Gadasz?

— Nie!

— Dwa! Śpiesz się, bo zacisnę pętlę i zaduszę cię, jak psa.

— Mardeczku! Jest kwadrans po jedenastej. Jeżeli za dziesięć minut nie wyjdę z tego pokoju, to na dwunastą nie zdążę na Karolkową do Pijca. A jeżeli mnie tam o dwunastej nie będzie, to Lewczak...

— ...co zrobi?

— ... natychmiast zaszlachtuje Polcię! Tak się umówiliśmy!

I zaśmiał się, bo dostrzegł, że cios był celny. Mardek wypuścił z rąk sznur.

Ale tylko poto, aby wnet z żarłocznością rzucić się na Szlaję i ścisnąć mu gardło rękami, wołając:

— Przyznaj się, że łżesz!

— Mówię prawdę.

— Przyznaj się, że łżesz, bo cię uduszę!

— Duś! Za godzinę Polcia będzie zaszlachtowana. Ona jest naszą zakładniczką. Zapłaci swem życiem za życie moje lub Lewczaka. To wszystko najświętsza prawda.

Dalszy ciąg nastąpi.

IKS.

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

P. Janeczce.

List Pani znalazł oddźwięk w sercu aż kilku towarzyszy niedoli. Pragną Pani pomóc. Prosimy o adres.

„Zawiedzionej R."

Prosimy o adres. Może co poradzimy.

P. K. P. z Marszałkowskiej

prosimy o adres. Postaramy się dopomóc.

P. Marlenie B.

To nic nie szkodzi. Jeżeli Pani tego oficera prawdziwie kocha, może się Pani tą dodatkową okolicznością nie krępować.

P. Helenie z ul. Madalińskiego.

Pewna niewiasta pragnie Pani dopomóc w biedzie. Prosimy o adres.

P. Dziunie z Nowowiejskiej

prosimy o pofatygowanie się do redakcji „Ostatnich Wiadomości", któregokolwiek dnia o godz. 4 pp.

P. M. S.

Jest Pan człowiekiem może zbyt szlachetnym na dzisiejsze czasy i cierpi Pan na tem. Ale lepiej cierpieć, niż mieć wyrzuty sumienia. Ma Pan pełne prawo do swego szczęścia osobistego. Niech Pan dąży do niego, nie zważając na nic.

P. Jara z Lublina

niech nam łaskawie nadeśle swą fotografję, a dopomożemy do umieszczenia jej w jakim ty godniku filmowym.

P. Lusi ze Lwowa.

Proszę iść tylko za głosem serca i pod żadnym pozorem nie wychodzić za innego, tylko za tego, którego Pani kocha. Miłość powinna być najważniejszym warunkiem małżeństwa. Bez niej małżeństwo prędzej czy później staje się piekłem.

P. Halina L. z Lublina.

Jedyna rada to wyznać wszystko ukochanemu.

P. S. W.

zakochała się nazabój w pewnym studencie, imieniem Bogdan. Nazwiska nie zna. Wogóle nie zna tego studenta osobiście, tylko z widzenia, a jednak, biedactwo, usycha z tęsknoty za nim. Nie może ani spać, ani jeść, ani pracować. Co robić, zapytuje nas ze łzami w oczach.

Trzeba jakoś postarać się zawrzeć z nim znajomość. Może Pani przynajmniej wie, w jakiej wyższej uczelni ów Bogdan studjuje? O ileby przeczytał niniejszy list, niech się zgłosi i poda adres, bo nam to biedactwo gotowe zemrzeć...

P. L. K. C.

niech zażąda od ukochanego, aby wytłumaczył się osobiście. Pośrednictwo koleżanki w takich razach może tylko wszystko zepsuć, zamiast pomóc.

P. Nina

żali nam się na pewnego Kazika, w którym kochała się z wzajemnością, ale tylko do czasu, gdy dowiedział się, że jest biedna. Potem zerwał z nią. P. Nina pragnęłaby go odzyskać i zapytuje nas, jak to zrobić.

Sposoby znalazłyby się może, ale nie warto, a nawet wręcz nie wolno starać się o to. To jakiś przebrzydły materjalista, z którym Pani na pewno nie byłaby szczęśliwa. A więc poco?

P. Ziutka F. ze Skolimowa

narzeka na swój los: „Razu pewnego byłam sama z moim ukochanym. Wzajemnie wyznaliśmy sobie miłość. Po długich prośbach i naleganiach z jego strony, uległam mu, ale tylko dlatego, ponieważ mi przysiągł, że wkrótce się ożeni. I rzeczywiście ożenił się, ale z inną. W ten sposób straciłam to, co mi było w życiu najdroższe, potem i tego, który mi był w życiu najdroższy, a wreszcie to, co mi było w życiu najpotrzebniejsze — pracę. Czy pozostało mi jeszcze inne wyjście, oprócz samobójstwa?

Z pewnością. Należy się postarać o inną pracę (w czem może zechcą Pani dopomóc nasi Czytelnicy?) i o człowieka godniejszego Pani, niż tamten uwodziciel. Widać ze wszystkiego, że Pani nie kochał, bo nie rzuciłby i że jest kłamcą, bo nie dotrzymał przysięgi. Lepiej się stało, że sobie poszedł do innej. Od kłamstwa do zbrodni tylko jeden krok. Nie zadawać się nigdy z kłamcami!

„Amatorska dziewczynka"

ma taki kłopot. Kochają się w niej mężczyźni albo za starzy, albo za młodzi. A ona pragnęłaby koniecznie młodzieńca lat 25 — 26, takiego zaś, jak na złość, nie może znaleźć. Mamy jej w tej sprawie dopomóc.

Niesposób inaczej, jak ogłoszeniem tego listu. Może się pa nowie w tym wieku zgłoszą. Tylko muszą być bardzo solidni. Ten warunek też jest wymagany.

P. Lali z Wólki Węglowej.

Źle Pani zrobiła. Trzeba było mu wyznać swą miłość. Proszę błąd naprawić, póki czas.

KRONIKA KRAKOWA

Uwaga!

Numer telefonu

naszej redakcji, admin. i drukarni **został zmieniony**

na 173-02

o czem zawiadamiamy niniejszem naszych Szanownych Czytelników

REDAKCJA.

Sobota: św. Marcjanny.
Niedziela: św. Agatona.

Wschód słońca o g. 7·59 zachód o g. 16.10

Stan pogody:

Naogół chmurno i mglisto, miejscami opady, nocą i rankiem przymrozki, w górach śnieg, w ciągu dnia lekkie ocieplenie, słabe wiatry miejscowe, potem połndniowe.

Przepowiednie astrologiczne.

Nie zniechęcaj się małemi niepowodzeniami, gdyż uchronią cię one od grcźnego nieszczęścia. Dla osób starszych dzień dobry do załatwiania finansowych interesów.

Wieczorem wpływy dodatnie również i dla młodych. W sprawach miłosnych zalecana jest ostrożność.

Sobota.

Teatr miejski: „Panna Maliczewska".

Apollo: „Swiatła wielkiego miasta".
Bagatela: „Ułani, chłopcy malowani".
Słońce: „Kobieta na Marsie".
Sztuka: „Tragedja amerykańska".
Swit: Parada zachodu.
Adria: „Krwawy wschód".
Uciecha: „Burza nad Zakopanem".
Warszawa: „Księżna Luiza Koburska (Romans córki królewskiej).

Radjo (Sobota)

G. 13.10 Kom. meteor. 13.15 Kom. gosp. 15.46 Giełda pieniężna, 15.50 Pogadanka dla chorych, 16.05 Płyty 16.20 Radjokronika 16.40 Płyty 17.10 Odczyt 17.35 Koncert 18.05 Słuchowisko 18.50 Rozmaitości 19 „Rzeczy ciekawe 19.15 Transmisja z Warszawy 19.25 Program na dzień następny 19.30 „Przegląd polityki zagr. 16.45—24 Transmisje z Warszawy

Nocny dyżur aptek.

Rynek 13, Retoryka, Lubicz 7, Stradom 6, Karmelicka 9, Podgórze-Rynek 9.

Poświęcenie dzwonu.

W Płaszowie odbyła się uroczystość poświęcenia dzwonu „Kazimierz" w niedawno wzniesionym kościele. Poświęcenia dokonał ks. dr. Niemczyński, proboszcz kościoła parafjalnego w Podgórzu, wygłaszając okolicznościowe kazanie.

W podniosłej uroczystości wzięły udział liczne rzesze wiernych.

Wystawa krakowskich artystów w Katowicach.

Zbiorowa wystawa prac grona krakowskich malarzy i rzeźbiarzy otwarta została w Katowicach i budzi tam ogólne zainteresowanie

Oszukańczy kwestarz noworoczny.

Należy go oddać w ręce policji

Jak co roku, tak i obecnie miejska straż pożarna wydała swój kalendarz i rozsyła go w Krakowie po firmach i instytucjach. Z kalendarzami chodzi strażak mający konsygnację opatrzoną dwoma pieczęciami straży pożarnej (u góry długą, u dołu okrągłą) i podpisem naczelnika p. Obidowicza. Strażak legitymuje się tą konsygnacją.

Dochód ze sprzedaży tych pięknie i gustownie wydanych kalendarzy przeznaczony jest na wdowy i sieroty po zmarłych strażakach.

Tymczasem doszło do wiadomości Zarządu straży, że po instytucjach obchodzi już jakiś osobnik z kalendarzami krakowskiej miejskiej straży pożarnej, w których posiadanie doszedł **w niewiadomy sposób** i zbiera **bezprawnie** datki do swej kieszeni.

Od osobnika tego, który w sposób oszukańczy, nie mając konsygnacji z 2 pieczęciami straży miejskiej krakowskiej i podpisem naczelnika Obidowicza, wyłudza pieniądze, należy oddać w ręce policji.

Zamach samobójczy maszynisty kolej.

Pogotowie ratunkowe wyjeżdżało na Rynek główny do domu pod l. 12, gdzie 25-letni Jan Szymański maszynista, zamieszkały przy ul. Kalwaryjskiej 37, w zamiarze samobójczym napił się jodyny.

Lekarz pogotowia ratunkowego udzielił desperatowi pierwszej pomocy, poczem przewiózł go do szpitala św. Łazarza.

Powód rozpaczliwego kroku niewiadomy.

Kupiec wykiwany na 1300 dolarów.

Zniknęły w powielaczu do kopjowania banknotów

Organa policji krakowskiej wpadły na ślad niezwykłego oszustwa, jakiego ofiarą padł kupiec krakowski. Na początku bieżącego roku zgłosili się trzej nieznani osobnicy u Izaka Lubowskiego, kupca zamieszkałego przy ul. Zwierzynieckiej Nr. 8 i zaproponowali mu, by przystąpił z nimi do kokosowego interesu podrabiania dolarów. Żądali jednak by Lubowski ofiarował im na ten cel znaczniejszą sumę prawdziwych dolarów, które następnie będzie można w dowolnej ilości kopjować w specjalnym powielaczu, przy użyciu aparatu inhalacyjnego.

Gdy Lubowski znęcony obietnicą łatwego zysku dostarczył im poważną kwotę 1300 dolarów, oszuści w jego obecności włożyli banknoty do powielacza twierdząc, że tak duża kwota musi dłużej leżeć w aparacie. Następnie zająwszy uwagę Lubowskiego rozmową na temat spodziewanych zysków, zdołali z powielacza całą kwotę 1300 dol. sprytnie usunąć, poczem wszyscy trzej ulotnili się z dolarami bez śladu.

Cała scena oszukańczego powielania banknotów odbyła się w specjalnie wynajętym pokoju w hotelu „Victorja".

Schwytanie niebezpieczn. włamywacza

Ślusarz lubiący łakocie i żyletki.

Do sklepu cukierniczego Teofili Nusbaumowej przy ul. Długiej l. 36, włamał się w nocy 30-letni Karol Łyko, ślusarz bez zajęcia i stałego miejsca zamieszkania i skradł różne wyroby cukiernicze wartości 300 zł. Policja wyśledziła i aresztowała złodzieja, przyczem przy rewizji znalazła u niego 2 pęki różnych kluczy i wytrychów, oraz narzędzia służące do włamania.

Jak ustalono, Łyko w miesiącu grudniu ub. r. włamał się do drogueri Jakóba Wilkosza przy ul. Karmelickiej 14 i skradł tam kilka tuzinów maszynek i żyletek do golenia, wartości 500 zł.

Część ze skradzionych przedmiotów zdołano od Łyki odebrać.

Tragiczna śmierć dziecka.

W Łaziskach (pow. Kielce) 2-letnia Wilhelmina Dubiel bawiła się grzebieniem celuloidowym i w pewnej chwili podeszła do rozpalonego pieca.

Grzebień się zapalił a następnie sukienka i dziecko doznało ciężkich poparzeń. W kilka godzin po wypadku dziecko zmarło.

Aresztowano

Hadziej Marję, lat 25, zam. przy Pl. Zgody l. 36, za kradzież węgla ze stacji kolejowej Kraków—Wisła.

Nadto przytrzymano 1 osobę za żebractwo, 1 za włóczęgostwo, 2 za niedozwolony powrót do Krakowa, 9 osób do stwierdzenia tożsamości i 1 osobę za jazdę koleją bez biletu „na gapę".

Teatr miejski, ku czci śp. G. Zapolskiej.

Z powodu niedawnej 10-ej rocznicy śmierci ś. p. Gabrjeli Zapolskiej, wystawia teatr m. im. J. Słowackiego w dniu dzisiejszym w Krakowie, jej komedję p. t. „Panna Maliczewska". Grano ją w teatrze krakowskim przed 20 laty za dyrekcji Solskiego.

Jutro w niedzielę powtórzenie tegoż spektaklu, po południu zaś po cenach zniżonych, wyborna komedja osnuta około „psiej sprawy" Brunona Franka „Burza w szklance wody".

Targ na konie.

Na ostatni targ przy ul. Zabłocie spędzono ogółem 204 koni. Płacono za sztukę: za konie pojazdowe od 150 do 400 zł., pociągowe lekkie od 120 do 220 zł., za rzeźne od 10 do 40 zł.

Ze spędzonych koni sprzedano: na wywóz za granicę kraju 2 sztuki, na rzeź miejscową 7.

Ceny utrzymały się na poziomie targu poprzedniego. Popyt był słaby, tendencja cen zniżkowa.

W Chicago wielkie redukcje płac

Burmistrz Chicaga wobec ruiny miasta przeprowadził iście drakońskie zarządzenia oszczędnościowe. Pensje urzędników miejskich zmniejszono o 20 proc., robotników o 27 proc. Wszystkim dano do wyboru przyjęcie nowych warunków lub utratę posady.

I to się dzieje w tej Ameryce, która przed kilku laty przysłała do nas swych instruktorów finansowych, jak Kemmerer i inni.

Kurs kroju krawiectwa męskiego.

Dyrekcja Muzeum Przemysłowego zawiadamia, że z powodu licznych zgłoszeń na kurs kroju męskiego, zostaną równocześnie przeprowadzone dwa identyczne kursy.

Zgłoszenia dodatkowe przyjmuje i informacji udziela Dyrekcja Muzeum i Instytutu (ul. Smoleńsk 9) w godz. od 8—2.

Kradzież z wozu.

Do policji zgłosił Braumfeld Salomon, kupiec, zam. w Rabce, że w czasie postoju na ul. Dietlowskiej w Krakowie, skradziono mu z wozu paczkę z różnemi materjałami płóciennemi wart. 94 zł.

Kosztowne roztargnienie.

Osterm Aleksander, student U. J., zam. w Krakowie, przy ul. Przemyskiej l. 3, pozostawił w pociągu osobowym Nr. 24 teczkę z książkami naukowemi i indeksem, o czem doniósł do policji.

Zgubiony zegarek.

Kutrzebowa Anna, zam. w Krakowie przy ul. Studenckiej l. 15, przechodząc ul. Studencką, zgubiła złoty damski zegarek na rękę z czarną tasiemką wartości 50 złotych.

Samoloty przeciw szarańczy.

Z Afryki angielskiej donoszą, że władze miejscowe wysłały oddział wojska w towarzystwie tubylców i eskadrę samolotów, która ma przy pomocy gazów trujących walczyć z plagą szarańczy.

Właśnie w tym roku w okolicach jeziora Tanganika pokazały się olbrzymie chmury tych owadów.

Kolendy w kościele.

W niedzielę dnia 10 bm. w kościele św. Barbary w czasie mszy św. o godz. 10-tej odśpiewa szereg kolend znany tenor p. Edward Siatka, przy organach p. Krzysztof Borzędowski.

Pierwszy autobus sypialny.

W Czechosłowacji uruchomiono na linji Praga—Zlin, pierwszy w Europie centralnej autobus sypialny, który biegnąc z szybkością 33 klm. na godzinę, wychodzi z Pragi o godz. 9 wieczór i przybywa do Zlina o godz. 7 rano.

Ocet i pieniądze.

Sipworowa Helena, właścicielka składu węgla przy ul. Wrocławskiej 16, doniosła do policji, że zajęty u niej robotnik Jan Ocet, korzystając z chwilowej jej nieobecności w składzie, skradł na jej szkodę torebkę z zawartością 90 złotych, poczem zbiegł w niewiadomym kierunku.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, ul. Na Gródku 2. — Telefon 173-02 (od godz. 8 — 11 w poł.)

CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej 1 wiersz mm. 50 gr. Drobne 30 groszy za wyraz. Prenumerata miesięczna zł. 3 wraz z odnoszeniem do domu.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. **Drukarnia Monopol, Kraków, Na Gródku 2**